



JAN DOBRACZYŃSKI

SPOTKANIA JASNOGÓRSKIE



SPOTKANIA JASNOGÓRSKIE



JAN DOBRACZYŃSKI

SPOTRANIA
JASNOGÓRSKIE

Institut Wydawniczy PAX
Warszawa 2022

© Copyright by Aleksandra Dobraczyńska, Joanna Dobraczyńska-Kuś
© Copyright for the Polish edition by Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 2022

Projekt okładki i skład
Amadeusz Targoński

Na okładce wykorzystano ilustracje
© POLONA, litografia Maksymilian Cercha
© Renata Sedmakova | shutterstock.com

We wnętrzu ilustracje na podstawie
Wikipedia Commons, © Dark Moon Pictures | shutterstock.com,
© Renata Sedmakova | shutterstock.com

Redakcja techniczna
Marcin Sułek

Korekta
Joanna Wójcik

ISBN 978-83-211-2052-2 (PDF)
ISBN 978-83-211-2053-9 (EPUB)
ISBN 978-83-211-2054-6 (MOBI)

Wydanie piąte

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX
00-519 Warszawa, ul. Wspólna 25
e-mail: iwpax@civitaschristiana.pl
www.iwpax.pl

Druk i oprawa
Drukarnia im. A. Półtawskiego
25-701 Kielce, ul. Krakowska 62

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**



PRYMAS POLSKI

Warszawa, dnia 5 listopada 1975 r.

N^o 2612/75/P.

Drogi Panie Janie,

Dziękuję za "Złoty Zeszyt", który doręczyłeś mi. Pragnę powiedzieć, że jest to najmiłsza książka, którą dałeś polskiemu czytelnikowi. Bardzo dziękuję.

Przyszła mi myśl, związana z rozpoczynającym się od 1.I.1976 sześciowiecznym przybycie Obrazu Matki Bożej na Jasną Górę. Różni ludzie podejmują próby pisania szkiców historycznych. Już kilka opracowań istnieje.

Boję się jednak, że dzieje pobytu obrazu na Jasnej Górze, choćby napisane najbardziej wiernie jeszcze nie odtworzą tej mocy oddziaływania na duchową formację małych czy wielkich Polaków.


Tu trzeba czegoś więcej. Trzeba wniknąć w przedziwne misterium trwania Pani Jasnogórskiej. Myślę, że w kraju tylko Twoje pióro zdołałoby sprostać zadaniu.

Gdybyś, Panie Janie chciał się tego podjąć, ufam, że praca ta przyczyniłaby się do przezwyciężenia deflacji społecznej, jaka opanowuje coraz to szersze kręgi naszej inteligencji.

Proszę nad tym pomyśleć. A gdyby projekt odpowiadał chętnie porozmawiałbym n.t. - jak to rozumiem.

Ale za wiele nie powiedziałbym. Idzie przecież o autentyczność tego przeżycia na własną miarę.

Słę słowa oddania w Chrystusie i błogosławie.


+ Stefan Kardynał Wyszyński
Prymas Polski

Szanowny Pan
Jan DOBRACZYŃSKI
ul. Hetmańska 42
04-305 Warszawa

Spis treści

Słowo wstępne

- 9 -

Jadwięga

- 13 -

Świątkarz

- 53 -

Kopernik

- 87 -

Hozjusz

- 105 -

Męciński

- 123 -

Sobieski

- 157 -

Pułaski

- 185 -

Poniatowski

- 229 -

Feliński

- 251 -

Jan

- 283 -

Ojciec Maksymilian

- 297 -

Stary człowiek i dziecko

- 311 -

Prymas Polski

- 347 -

Papież Polak

- 381 -

**Skorowidz ważniejszych postaci historycznych
występujących w książce**

- 405 -

Posłowie

- 423 -

Słowo wstępne

Na polski rynek wydawniczy trafiają po raz kolejny „Spotkania Jasnogórskie” Jana Dobraczyńskiego. Jak zapowiada Instytut Wydawniczy „PAX”, ma to być zupełnie nowa edycja znanej książki równie znanego autora. Koncepcja pierwszego wydania związana była z przygotowaniem do Jubileuszu 600-lecia przybycia Ikony Matki Bożej na Jasną Górę. W tym celu osobistą prośbę do pisarza skierował 5 listopada 1975 roku kard. Stefan Wyszyński. W liście Prymas Polski wyraził nadzieję, że opracowanie to „wniknie w przedziwne misterium trwania Pani Jasnogórskiej”. Wydaje się, że oczekiwanie to zostało spełnione, bo książka cieszyła się sporą popularnością, a w 1984 roku pojawiło się jej czwarte wydanie

(w nakładzie ponad stutysięcznym), którego jestem szczęśliwym posiadaczem. W tej edycji obok dwunastu szkiców, od św. Jadwigi Królowej poczynając, obecne są spotkania z Jasnogóorską Bogarodzicą Prymasa Tysiąclecia i Jana Pawła II. Po pierwszej pielgrzymce Papieża Polaka do ojczyzny, wspomnianym jasnogóorskim jubileuszu i śmierci Wielkiego Prymasa Dobraczyński zdawał sobie sprawę, że bez opowiadań o Matce widzianej oczami tych dwóch wielkich patriotów i ludzi Kościoła obraz owego „misterium” byłby niepełny. Dziś, po 43 latach od pierwszego wydania, mówimy już o Błogosławionym i Świętym, a to oznacza, że „Spotkania Jasnogóorskie” nabierają nowego znaczenia.

W roku 2022 mija 640 lat obecności Maryi w Jasnogóorskim Obrazie na polskiej ziemi. W kwietniu rozpoczyna się Jej drugie nawiedzenie w archidiecezji gnieźnieńskiej, a więc prymasowskiej, w kolebce chrześcijaństwa w Polsce. W Kościele zbudowanym na męczeńskiej krwi św. Wojciecha, któremu przypisuje się autorstwo pieśni „Bogurodzica”. Są to okoliczności, które w pewien sposób tworzą nowe ramy dla tego wydania. Tak wiele się wydarzyło na przestrzeni minionych czterdziestu lat. Powstanie ruchu społecznego „Solidarność”, pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, odzyskanie wolności i suwerenności, przemiany ustrojowe oraz procesy zachodzące w Kościele katolickim, z postulatem „synodalności”, zapoczątkowanym przez papieża Franciszka. Wreszcie pandemia koronawirusa i ostatnio okrutna wojna za wschodnią granicą Polski z największą w dziejach Europy falą uchodźców. Po raz kolejny okazuje się, jak krucha jest kondycja człowieka. Pomimo niebywałych osiągnięć nauki, nie potrafimy przewidzieć, co przyniesie przyszłość. Wierzymy jednak, że Panem historii jest Jezus Chry-

stus, a losy świata należą do miłosiernego Boga. To powinno skłaniać nas do wielkiej modlitwy o ratunek dla naszej cywilizacji. Jej siła i skuteczność niewątpliwie związane są z pośrednictwem Bożej Matki. Żeby do takiej modlitwy zachęcić i zbudować ufność w ludzkich sercach potrzeba nowego wnikięcia w misterium Jasnej Góry i Tej, która to miejsce wybrała na swoją duchową stolicę. Jej oczy od wieków śledzą ludzkie losy z największą miłością i z troskaniem. Ufam, że każdy czytelnik i każdy jasnogórski pielgrzym poczuje na sobie to spojrzenie i będzie mógł, niekoniecznie piórem, ale z pewnością sercem, dopisać kolejną historię spotkania i zawierzenia Maryi do końca.

o. Samuel Pacholski
Przeor Jasnej Góry

Jadwięga



1

Mały poczet, który zajechał do lejowskiego zajazdu, obudził wielkie zainteresowanie gospodarza Kurka. W lejowskiej karczmie rzadko zatrzymywali się ludzie podobni do tych, którzy zjawili się tego wieczoru. Gromadka konnych przybyła od strony rzeki, mało uczęszczanym szlakiem. Wszyscy jechali wierzchem, a cały ich bagaż znajdował się w jukach. Przybyli zażądali kwater i wieczerzy. Czekając, aż Kurkowa przyrządzi jedzenie, zasiedli do

stołu. Wśród przybyłych były trzy kobiety, kilku mężczyzn o wyglądzie rycerzy, jakiś duchowny oraz braciszek zakonny. Resztę pocztu stanowiło kilkunastu zbrojnych, którzy zajęli się końmi.

Choć siedzący przy stole ubrani byli w zwykłe stroje podróżne, wprawne oko gospodarza od razu wypatrzyło, że musieli to być ludzie godni i bogaci. Dwie spośród kobiet były młode, jedna nawet bardzo młoda. Obie urodziwe. Starsza nieustannie się śmiała, błyskając białymi zębami i strzelając na wszystkie strony czarnymi oczami, odbijającymi barwę od złotych włosów wymykających się spod naszywanego perełkami pątlika. Młodsza wydawała się przeciwieństwem swej towarzyszki. Była bardzo wysoka, wyższa nawet od otaczających ją mężczyzn. Miała smagłą twarz, ciemne oczy i ciemne włosy. Ona nie śmiała się. Na młodziutkiej twarzy zastygł wyraz żałości. Blade wargi miała zagryzione. Prawie się nie odzywała. A przecież siedzący przy stole ją zdawali się otaczać największym szacunkiem. Została posadzona na najlepszym miejscu, posłano ławę miękkim kilimem. Gdy Kurek przyniósł piwo – jej pierwszej nalano do kubka.

Trzecia z kobiet była już starsza wiekiem i robiła wrażenie opiekunki tej najmłodszej. Na końcu stołu przycupnął na ławie braciszek franciszkański.

Kurek to zaglądał do kuchni, popędzając żonę, aby szybciej przygotowywała wieczerzę, to znowu stawał w progu izby gościnniej i przyglądał się swoim gościom. Nie wiedział, co mówili, gdyż rozmawiali przeważnie w obcym języku. Ale cudzoziemkami musiały być jedynie kobiety, bo kiedy rycerze zwracali się do siebie, mówili wtedy po polsku. Także zbrojni, którzy czekali na posiłek w drugiej izbie, odzywali się zrozumiale. Kurek próbował ich za-

gadnąć, zapytać, kim są. Ucięli krótko, że to nie jego sprawa i niech pilnuje piwa, a nie miele bez potrzeby ozorem.

Przy wysokiej dziewczynie siedział ksiądz i coś do niej mówił, a ona słuchała uważnie jego słów. W miarę jak Kurek się jej przyglądał, nabierał przekonania, że to nawet nie dziewczyna, ale dziecko, niemające nawet dwunastu lat. Ciemna cera i wysoki wzrost dodawały jej wieku, ale wyraz oczu i boleśnie krzywiące się usta zdradzały dziecinną bezbronność. Tamta złotowłosa piękność rozmawiała ciągle wesoło z siedzącym obok niej młodym mężczyzną o wyglądzie rycerza. To on wydawał polecenia i zdawał się przewodzić gromadce.

Wreszcie Kurkowa zawołała na męża, że wieczerza gotowa. Gdy oboje wnieśli misy z mięsem, rycerz gestem polecił, aby dali mu pierwszą, i sam, dwornie przyklękawszy, podał ją wysokiej dziewczynie. Podziękowała mu wdzięcznym skinieniem głowy, ale i teraz nie uśmiechnęła się. Kurek i jego żona, ustawivszy misy, stanęli pod drzwiami, czekając, czy nie będą wezwani. Kurkowa szepnęła:

– Ta dostojna pani musi mieć jakieś wielkie zmartwienie. Młodzietka, niewiele starsza od naszej Jagnieszki i na pewno z wielkiego rodu, a przecież ją coś dotknęło. Panno Święta ze Starej Góry, jakie to nieszczęścia chodzą po świecie...

Wieczrano prędko, goście wydawali się zmęczeni drogą. Ledwo zjedli, rycerz przywołał Kurka i powiedział, aby szykował łożnice. Chca się zaraz położyć, aby wstać rano do dnia. Izba dla kobiet znajdowała się na piętrze, więc Kurkowa zapaliła łuczywo, by poprowadzić kobiety. Zza spódnicy matki wysunęła jasną głowę młodsza, czteroletnia córeczka. Pызata, jasnooka dziewczynka

nie dała się zatrzymać w kuchni, ale przybiegła do izby, ciekawa przybyłych gości.

Widok dziecka sprawił, że na twarzy wysokiej dziewczyny pojawił się po raz pierwszy błysk uśmiechu. Pochyliła się i wyciągnęła ręce do małej.

– Podejdź do mnie – powiedziała. Mówiła po polsku, wymawiając jednak słowa nieco twardo. – Jak się nazywasz?

– Magda.

– Chodź ze mną, pokaż, gdzie będziemy spały.

Trzymając małą za rączkę, szła za Kurkową. Tamte kobiety ruszyły także, chociaż widać było, że złotowłosej trudno było oderwać się od rozmowy z rycerzem.

Izba sypialna była mała. Wzdłuż ściany małe wzniesienie ogrodzone deskami stanowiło szerokie łóże. Siano było przykryte lnianym prześcieradłem. Przez wąskie okienko z odchyloną okiennicą sphywała do wnętrza z ciszą i wonią jabłek ciepła, październikowa noc.

Towarzyszki podeszły do wysokiej dziewczyny, aby jej pomóc zdjąć szaty. Ubrana w długie białe gieźło wciąż rozmawiała z małą. Zdawać się mogło, że pragnie sobie wynagrodzić milczenie przy stole. Jakby i tego było jej mało, zapytała:

– Czy nie chcesz spać ze mną?

– Tak, tak – ucieszyła się mała. – Chcę spać z tobą!

– Będzie waszej dostojności przeszkadzać – oponowała Kurkowa. – Śpi niespokojnie, skacze po posłaniu jak żreback...

– To nic – powiedziała. Wzięła Magdę na ręce i położyła w łóżnicy.

Jej towarzyszki rozebrały się także. Starsza przyniosła ze sobą olejny kaganek, który zapaliła od łuczywa Kurkowej. Kobiety, za-

nim położyły się, uklęknęły do modlitwy. Wysoka dziewczyna czytała modlitwy z książki oprawionej w czerwoną skórę z pięknie malowanymi obrazkami. Tamte odpowiadały. Modliły się długo. Kiedy skończyły, weszły do łożnicy. Ale wysoka dziewczyna dała im znak, aby spały, a ona wróciła znów do modlitwy. Teraz modliła się bez książki, zaciskając mocno splecione dłonie, oparłszy czoło na stole. W końcu jednak i ją zmogło zmęczenie. Położyła się. Leżąc, ogarnęła ramieniem śpiące obok niej dziecko.

Kurek póty karmił i poił pacholków, którzy do późna siedzieli przy piwie, aż wreszcie jeden z nich, zmęczony naleganiami gospodarza, odwołał go na bok i, przykładając palec do ust, powiedział:

– Słuchaj, powiem ci, ale o tym, co usłyszysz, masz milczeć jakbyś był trupem. Kasztelan krakowski zapowiedział, że kto będzie rozgadywał, tego odnajdzie, w dyby zakuje i język mu wyrwie. Sama królowa gości dziś pod twoim dachem. Usłyszałeś – to teraz milcz! Pamiętaj, co ci rzekłem. Wygadasz – biada twojej głowie! Masz milczeć wobec wszystkich. Nawet przed własną żoną. Pamiętaj!

2

Mały poczet wyruszył następnego dnia wczesnym rankiem i natychmiast zagłębił się w lasy. Musiał tamtych prowadzić ktoś, kto znakomicie znał okolice i wiedział o wszystkich drogach i ścieżkach. Kurek i jego żona, stojąc na progu, patrzyli za odjeżdżającymi. Gospodarz ścisnął w dłoni sowitą zapłatę, jaką dał mu za gościnę rycerz. Mała Magda podskakiwała rozradowana. Młoda pani ofiarowała jej przed odjazdem piękny krzyżyk.

Znowu zbliżał się wieczór, gdy wydobyli się z lasów i wyjechali na wzgórze, które przechodziło w długi grzbiet rozdzielający się w oddali i obejmujący ramionami płynącą w dole rzekę. Nad rzeką widać było osadę ludzką. Oni jednak zwrócili się w drugą stronę. Nad grzbietem, okolony czarnym lasem, niby głowa mnicha pierścieniem włosów, wznosił się samotny szczyt, bielejący odkrytymi skałami. Gdy podjechali bliżej, mogli zobaczyć, że stoją tam jakieś budynki. Ku nim prowadziła między drzewami kręta droga.

Jadwiga jechała na przodzie. Łagodny wiatr rozwiewał jej włosy i wrywał je spod nasuniętego na czoło kapturka. Koń, jakby czuł zbliżający się koniec podróży, zapomniał o zmęczeniu i ciągnął mocno. Ale dłoń dziewczyny trzymała go pewnie. Siedziała na koniu z wdziękiem. Często jeździła wierzchem i lubiła konną jazdę. Była silna i zręczna. Umiała także strzelać z łuku, rzucać dzidą, nawet poznała nieco sztukę władania mieczem. Tych umiejętności kazała ją wyuczyć matka, przekonana, że kobieta-król powinna w potrzebie spełnić także rycerską powinność. Wielu jeszcze innych rzeczy chciała nauczyć swą ulubienicę. Sama nie posiadała i połowy tych umiejętności.

Jak lubiła jazdę konną – te długie galopy za uciekającym zwierzęciem, gdy ujadająca sfera psów biegnie obok konia – tak przepadała za tańcami, za śpiewem, zabawami w gronie wesołej młodzieży. Rozkoszowała się słuchaniem muzyki i opowieści wędrownych *minnesängerów*. Ale to było tam – w Budzie. Odkąd przyjechała do Polski, brakło jej zabaw i radości. Zamek wawelski był ponury. Żyła w nim samotnie, w gronie przywiezionych dwórek. Zamiast ukochanej matki, opiekę nad nią sprawowali poważni i niemłodzi członkowie Rady. Widzieli w niej jedynie króla, który winien peł-

nić swe królewskie powinności. Resztą jej życia nie interesowali się. Więc tęskniła do matki, pisała do niej, błagając, by przyjechała, i szukała sobie rozrywek. Jej wesoła natura nie mogła pogodzić się z życiem pozbawionym jakiegokolwiek radości.

To pragnienie radości szło w parze z głęboką wiarą i religijnością, w jakiej wychowała ją babka i matka. Pobożność Jadwigi była pełna słonecznej ufności. Jezus i Jego Matka zdawali się do niej uśmiechać z każdego obrazu. Marzyła o szczęściu, ale to szczęście musiało być pobłogosławione przez Syna i Matkę. To poczucie, że Bóg jest radością, odnajdywała najłatwiej w otoczeniu małych braci. Na Wawelu nie ciągnęło jej do mrocznej i pustej kaplicy zamkowej. Szła natomiast chętnie do pełnego śpiewów kościoła franciszkanów...

Podjeżdżali coraz bliżej szczytu. Ścieżka była szeroko rozdeptana, jakby chodziło tędy wielu ludzi. To wydawało się dziwne. Wiedziała, że zakonnicy, których przysłał do Polski ojciec, a osadził tu, na górze, księżę Władysław, byli pustelnikami, pragnącymi żyć z dala od ludzkiego gwaru. Król Ludwik żywił dla białych eremitów wiele szacunku. Otaczał ich opieką i wytargował od republiki weneckiej ciało ich założyciela, by je złożyć z wielką czcią w kościele, w pobliżu Budy. Klasztor św. Wawrzyńca zatopiony był w ciszy i tylko odwiedziny królewskie zakłócały z rzadka spokój, w jakim żyli zakonnicy.

Jeśli jechała dziś do klasztoru pustelników, to nie dla wyrażenia im szacunku, jak to zwykł był czynić ojciec. Po przeżyciach ostatnich miesięcy na próżno szukała pomocy u ludzi. Jeśli od przybycia do Polski czuła się sama, to teraz ta samotność stała się czymś przerażającym. Jej bunt został złamany, ale pozostał w sercu jak

rana, która na nowo krwawi każdego dnia. Uległa, lecz w sercu opór trwał dalej – nieugięty.

Przypomniała sobie, co jej mówił niedawno braciszek franciszkański o dziwnym obrazie, przed którym dokonują się cuda. Opowiadali o nim, już przedtem, mnisi paulińscy, którzy wraz z jej orszakiem przybyli przed rokiem do Polski, by zasilić gromadkę przyslaną wcześniej przez króla Ludwika. Ale kiedy wyraziła życzenie odwiedzenia klasztoru – Rada odpowiedziała sprzeciwem. Uparcie powtarzała swoje żądanie. Nie chcieli ustąpić. Byli pewni, że za chęcią zobaczenia obrazu kryje się podstęp. Wiedziała, co mówili na naradzie. Wykrzykiwali: „Chce uciec i oddać się pod opiekę księcia Władysława! Nie ufajmy ani jej, ani Opolczykowi! Nieraz już obiecywał, a potem czynił inaczej!”. „Nie, nie – bronii Jadwigi Dymitr z Goraja – ja jej ufam. Mogła wtedy zrobić wszystko, co chciała, a jednak ustąpiła...” „Choćbyśmy jej zaufali, nikt nie może zaufać temu krętaczowi!”

Na koniec poprosił o głos arcybiskup Bodzanta. Nie był członkiem Rady, ale został zaproszony do Krakowa i, będąc tutaj, brał udział we wszystkich naradach. Powiedział: „Myślę, dostojni panowie, że jeśli królowa chce, w tak trudnej dla siebie chwili, szukać pomocy u Najświętszej Panny, nie powinniśmy jej w tym przeszkadzać. Kto broni dostępu do Matki Jezusa, ten sprzeciwia się samemu Jezusowi. Cokolwiek byśmy myśleli o sprawach ludzkich, nie wolno nam zapominać o sprawie Bożej”. Po słowach arcybiskupa zrobiła się cisza. Pasterz gnieźnieński nie był lubiany w Krakowie. Wiedzano o tym, że bywał kolejno zwolennikiem Zygmunta, potem Ziemowita. Jednak teraz, w obliczu przewidywanego związku, panom krakowskim potrzebne było poparcie

najwyższego w kraju dostojnika Kościoła. Biskup Radlica poparł arcybiskupa: „Ostatecznie – rzekł – nie stanie się nieszczęście, gdy pozwolimy królowej odprawić pielgrzymkę”. „Może się stać! – zaprzeczył żywo Dobiesław. – Przecież to ziemia księcia opolskiego. Nawet jeśli sama królowa myśli o pielgrzymce szczerym sercem, ten poplecznik rakuskiego księcia może spróbować jakiegoś podstępu. Ciągłe zapominacie, dostojni panowie, że królowa jest tylko dzieckiem...!” „Królowa jest dzieckiem – odezwał się wojewoda krakowski – i dlatego musimy otaczać ją opieką. Nie znaczy to jednak, że mamy się sprzeciwiać każdemu jej pragnieniu. Nie musi przecież jechać na Starą Górę jawnie, tak, aby wszyscy wiedzieli o jej pielgrzymce. Jeśli pojedzie skrycie, pod dobrą opieką, dojedzie i – wróci szczęśliwie, jestem tego pewien”. „Mówicie, panie, o dobrej opiece – zapytał któryś – ale kto tę opiekę sprawować nad nią będzie?” „Jeśli zgodzicie się, dostojni panowie, gotów jestem pojechać z królową” – oświadczył Spytek. Chwilę milczeli, potem stary Dobiesław zachichotał: „Niewątpliwie piękna córka starosty Emeryka pojedzie także, nieprawdaż?”. Teraz śmieli się wszyscy, a młody wojewoda poczerwieniał.

To od Elżbiety Jadwiga dowiedziała się, że zgodę na swoje żądanie zawdzięczała Spytkowi z Melsztyna – a właściwie jego miłości do swej dwórki. Biskup Radlica przyszedł do królowej, aby ją powiadomić o decyzji Rady. „Zechciej tylko, miłościwa pani, zastosować się do naszych próśb, aby o wyjeździe twoim nikt nie wiedział. Służba musi sądzić, że niedomagasz i pozostajesz przez parę dni w swych komnatach. Dopuść do tajemnicy jedynie najwierniejsze swe dwórki. Musisz także, miłościwa pani, jechać bez należytego pocztu, bez służby i wozów...” „Uczynię, jak tego żądasz, panie

biskupie – odpowiedziała. – Jadę jedynie po to, by złożyć cześć Najświętszej Pannie i powierzyć się Jej opiece. A jazdę konną, wiesz sam, że bardzo lubię...”

Ścieżka prowadziła coraz stromiej w górę. Las pozostał za nimi, wyjechali na skalisty, łysy wierzchołek. Zatrzymali się przed ciężką bramą, zamykającą niewielki podwórzec, otoczony ostrokołem. Jeden z ludzi, na rozkaz Spytka, zaczął dobijać się do bramy. Kołotali dość długo, zanim wreszcie znad palisady wyjrzał biało ubrany zakonnik.

– Wszelki duch Pana Boga chwali, kto się tak dobija o wieczornej porze?

– Otwieraj, bracie. Jestem panem z Melsztyna, wojewodą krakowskim. Przyjechaliśmy złożyć pokłon cudownemu obrazowi Matki Bożej.

Mnich nic nie odpowiedział. Nie śpieszył się z otwieraniem, nieufnie patrzył po małym, ale zbrojnym poczie. Zdawał się liczyć wzrokiem jezdnych, przypatrywać ich strojom. Wreszcie zniknął. Ale i teraz brama nie została otwarta. Tamten musiał pobiec do przeora, aby się z nim nad otwarciem naradzić. Czekali cierpliwie, nawykli do takiej nieufności.

Wreszcie posłyszeli dźwięk, który mówił, że ktoś odsuwa kłodę zapierającą wrota. Ale otworzyła się tylko część bramy, tak aby jeźdźcy mogli jedynie pojedynczo wjeżdżać do środka.

Spytek dał znać, aby pierwsi wjechali dwaj łucznicy. Sam wjechał zaraz za nimi. Na jego znak żołnierze zeskoczyli z koni i, odsuwawszy mnichów, objęli służbę przy bramie. Gdy tylko cały poczet znalazł się wewnątrz zagrody, żołnierze zamknęli wierzeje i zasunęły podpierającą je belkę.

Gromada zakonników z przeorem na czele stała zaskoczona tym, co się stało. Spytek zsiadł z konia i podszedł do mnichów. Przeor był mały i lysy. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Był pewny, że przybysze użyli imienia wojewody tylko dla podstępny, aby się dostać do wnętrza. Stał, milcząc, przed Spytkiem.

Wojewoda przywołał jednego ze swych ludzi, który znał węgierski.

– Czcigodny panie przeorze – mówił, tamten przekładał jego słowa – nie lękaj się. Jestem naprawdę wojewodą krakowskim i przybyłem tutaj nie po to, aby napadać na wasz święty erem. Towarzyszę jedynie czcigodnej naszej władczyni i najmiłociwszej królowej...

Gestem wskazał Jadwigę, która właśnie zsiadła z konia i, w towarzystwie swego kapelana i dwórek, szła w stronę przeora.

Lęk, jaki był widoczny na twarzach zakonników, ustąpił miejsca radości. Większość paulinów znała z widzenia córkę opiekuna zakonu, a niektórzy przybyli w jej poczcie do Polski. Pośpieszyli do królowej i skłonili się przed nią nisko.

– Witaj, najmiłociwsza pani. Witaj. Jesteśmy szczęśliwi z twoich odwiedzin.

– Witajcie, ojcowie i bracia. Darujcie, że tak niespodzianie i bez zapowiedzi zjeżdżam do was.

– Czemu nas o twoim, pani, przybyciu nie powiadomiono? – pytał przeor. – Jesteśmy ubogim eremem i nie przygotowaliśmy się na przyjęcie tak godnego gościa.

– Są powody – wtrącił się Spytek, który, poznawszy ostatnio nieco język węgierski, próbował nim teraz sam mówić – aby o pobycie miłociwej pani tutaj nikt nie wiedział. Dlatego moi ludzie muszą strzec bramy aż do odjazdu królowej. Nie traktuj tego jako

obrazę, czcigodny przeorze. Chodzi o bezpieczeństwo naszej władczyni. A o środki na przyjęcie królowej nie martw się. Pani nasza nie chce żadnych wspianiałości, traktując ten przyjazd jako pobożną pielgrzymkę do obrazu Matki Bożej. Zresztą przywieźliśmy ze sobą trochę zapasów. Każ, panie przeorze, aby bracia zabrali od moich ludzi mięso i wino, i niech kucharz przygotuje wieczerzę dla wszystkich. A jutro, zaraz po mszy, ruszamy z powrotem...

Przeor szedł przodem i, wśród ukłonów, prowadził królową do refektarza. Klasztor był skromny i mały. Stanowił przedtem dom proboszcza, od którego został odkupiony przez księcia opolskiego, gdy kościół na górze oddano zakonnikom. Nowi mieszkańcy niewiele go poszerzyli.

– Racz wybaczyć, miłościwa pani – mówił przeor. – Ciasno tu u nas i ubogo. Jesteśmy pustelnikami i niczego więcej nam nie potrzeba. Jednak gdy przybywają tak czcigodni goście...

– I nam niczego więcej nie potrzeba – powiedziała. – Nie chcielibyśmy zakłócać waszych modlitw i rozmyślań.

– Odwiedziny twoje, miłościwa pani, niczych modlitw nie zakłóca. Zresztą jesteśmy tyle winni ojcu twojemu, dostojna królowo. To prawda – westchnął – nie wszyscy dbają o nasz spokój. Coraz większe gromady ludzi przychodzą, by uczcić obraz...

– Powinno to was chyba radować?

– Tak, oczywiście... Ale niestety... Ciągłe odwiedziny rozpraszają braci i odrywają ich od modlitw... Zechciej usiąść, miłościwa pani. Czy pozwolisz podać sobie piwa z naszej piwnicy?

– Chętnie napiję się. Spragniona jestem po tak długiej drodze. A potem, zanim wasz kucharz przygotuje wieczerzę, pragnęłabym zobaczyć obraz.

– Stanie się, jak sobie zyczysz, pani.

Przybyli zasiedli przy stole. Bracia przynieśli dzbany z piwem. Zmęczeni goście milczeli, terkotała tylko złotowłosa Elżbieta.

5

Jadwiga, ledwie umoczywszy usta w kubku, skinęła głową przeorowi. Oboje wstali i wyszli z refektarza. Mroczny korytarz prowadził do kaplicy. Przeor szedł przodem, niosąc w ręku zapalony kaganek. W korytarzu, o ścianach z grubych jodłowych tramów, ciągnęły mocne powiewy; płomyk kaganka kładł się i chwilami przygasał. Wtedy zwalniali kroku.

– Tak, miłościwa pani, tak... – podjął przeor. – Wielka to łaskawość księcia opolskiego, że zechciał zostawić u nas tę świętą relikwię. Jednakże ci ludzie, którzy nas nachodzą tak wielkimi gromadami... To ciemny tłum...

– Czy wolałbyś czcigodny ojcze, aby obrazu tu nie było?

– Nie, nie, oczywiście, że nie! – zaprzeczył pośpiesznie. – Niepokoi mnie tylko, że my, naśladowcy świętego pustelnika Pawła, odrywani jesteśmy od naszego milczenia...

– Może tak trzeba? – powiedziała. – Może Bóg tego chce...?

– Pewno masz słuszość, miłościwa pani – rzekł. – Bóg chce nas doświadczyć, biednych grzeszników...

Nie odpowiedziała. Szli dalej w milczeniu, słyhać tylko było ciężkie kroki przeora i ciche stąpania królowej. Gdzieś, szparą między belkami przedzierał się ze świstem wiatr.

Doszli do ciężkich, okutych drzwi. Kościół był drewniany, ale na podmurówce z białych głazów. Zanim książe Władysław oddał

go zakonnikom węgierskim, służył jako kościół parafialny okolicznej ludności. Przeor odsunął żelazną, kutą zaworę. Zamek zgrzytnął. Drzwi zaskrzypiały. Z czarnej głębi powiało chłodem. Przeor zatrzymał się i poświecił, aby Jadwiga mogła przekroczyć wysoki próg. Od utrzymanego w ręku kaganka zapalił dwie grube, woskowe świece. Uniósł je w górę. Odepchnięta blaskiem ciemność cofnęła się. Szli boczną nawą między ścianą kościoła a podtrzymującymi dach drewnianymi wsporami.

Obraz, który przyjechała zobaczyć, stał na niskim ołtarzu. Podchodziła do niego wolno. Przycisnęła dłonie do piersi, tak mocno biło jej serce. Przeor usunął się na bok, wciąż trzymając płonące świece wysoko w górze. Obraz, niby w grubą ramę, był ujęty w wieniec z wotów poprzybijanych wprost do desek, na których był namalowany. Były to łańcuszki, paciorki, pierścienie, zausznice, monety. Ludzie zawieszali swoje dary od dziesiątków, może od setek lat. Wieniec grubiał, narastał, coraz bardziej zakrywał obraz, że już tylko twarze Maryi i Jej Syna były widoczne i zdawały się spoglądać niby z głębokiej studni na tych, którzy przychodzili złożyć pokłon.

Przeor trzymał świece tak, aby blask mógł sięgnąć między wota. Spojrzenie Jadwigi wędrowało za tym blaskiem. Gdy dotarło do twarzy Maryi, królowa uświadomiła sobie, że oczy Matki Bożej patrzą na nią. Wąskie migdałowate oczy wydawały się jak żywe. Tyle w nich było życia, że można było sądzić, iż czekały od dawna na chwilę, gdy będą mogły spotkać oczy dziecka-królowej. Napotkawszy je, trzymały teraz na uwięzi. Miała uczucie, że nie zdoła się im wyrwać. Powoli osunęła się na kolana. Blask świec drżał, biegające cienie dodawały życia ciemnemu obliczu. Tak bardzo chciała tutaj przyjechać!